Tom XI. Nr. 8.

11. września 1864.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

JUDYTA,

żona króla polskiego, Bolesława Chrobrego.

Judyta, córka Gejzy księcia węgierskiego, a żona Bolesława Chrobrego, o którym to już czytaliście nieraz, że był król nad króle, była bardzo miłościwą i dobrą panią. Stateczna w wierze, pobożna w nabożeństwie, miłosierna w uczynkach, umiała miarkować i przebłagać surowość swego męża, a kiedy z obowiązku królewskiego nie chciał się dać uprosić, aby sprawiedliwości nie tamować, to i wtedy dowcipem kobiecym a miłosierdziem zdołała nieraz winnego od kary uwolnić, a łaską okazaną do takiej wdzięczności winowajcę pobudzała, że go na zawsze Bogu i ojczyźnie pozyskała, co się szczególniej pokazało w następującej okoliczności.

Król Bolesław musiał ciągle się przenosić z wojskiem ze wschodu na zachód, aby granice Polski strzedz od nieprzyjaciół, dawać opiekę krewnym książętom ruskim i garnąć pogańskie jeszcze plemiona innych słowian pod skrzydła polskiej miłości.

Na takie wyprawy brał z sobą ten sławny król polski dużo walecznych rycerzy, którzy dzielnie wrogów tłumili. Ale w domu pozostali synaczkowie tych rycerzy rosli bez dozoru. Matki osamotnione pobłażały swywoli ich dzieciństwa, nie mogły poradzić rozpuście młodzieńczego wieku.

Nic zgubniejszego dla młodego jak gnusność a miękkość; chuci gorące wylęgłe w próżnowaniu, wypielęgnowane przez podchlebstwo sług nie znały granic, i do tego przyszło, że synowie pobożnych i walecznych ojców, co się zwijali na wojnie z swym królem, rozmarnowawszy ojcowizny, przyprowadzeni do ubóstwa, zaczęli się łączyć między sobą, aby rabować spokojnych podróżnych i kupców, i wydartemi pieniądzmi i towarami nagradzali bezbożników, którzy im do tych zbrodni pomagali.

W tem nadchodzi wiadomość, że król Bolesław wraca z zwycięskiej wojny; otucha wstępuje w uciśnionych, że przybywa król mądry, sprawiedliwy, opiekun wdów i siorót, który skarci rozpustę i bezprawia. Młodzieńców przejęła słuszna trwoga, ale szczególniej wstyd okrył ich czoła, gdy ujrzeli swych ojców, dzielnych rycerzy, chwalebnemi okrytych ranami, gdy usłyszeli modlitwy dziękczynne, które witały ich powrót do kraju, zawstydzili się siebie samych, porzucili szable zhańbione rozbojem i uciekli w lasy.

Ale ich bezprawia zbyt były głośne, zewsząd zanoszono skargi do króla, rozkazał więc ich stawić przed sobą i postanowił przykładnie ukarać. Młodzieńców niepokoiło sumienie, nie opierali się tym, co ich szukali, z spuszczonemi oczyma, z pokornem obliczem stanęli przed Bolesławem.

Sprawy wtedy nie szły tak powoli jak teraz, nie przechodziły przez tyle rożnych sądów, sami królowie nieraz badali winowajców i na razie wydawali wyroki. Tutaj wina była oczywista, oskarzeni nie mogli się nawet wypierać, w ich sercach nie całkiem jeszcze zepsutych obudziło się uczucie prawdziwej skruchy, pragnęli krwią własną odpokutować występek, i w milczeniu przyjęli wyrok śmierci, który zaraz dnia następującego miał być wykonany.

Obok króla stali ojcowie, wysocy dostojnicy i rycerze polscy, zawsze blizcy królewskiego boku i ucha, czy to w radzie, czy na wojnie; ale tą razą żaden z nich nie przemówił za swym synem, tylko spuścili twarze na dół, aby nikt nie widział łez wstydu i boleści, które się im do męskich ócz cisnęły, że takich niegodnych i złych dochowali się dzieci.

Nie mogła znieść tego widoku królowa Judyta, a gdy król opuścił salę sądową, przystąpiła do niego z wielką żałobą wystawiając mu młodość skazanych, cnotę i wstyd zasłużonych rodziców. Król Bolesław brwi srogo zmarszczył.

— Tem winniejsi oni — rzecze — że mając cnotliwych ojców, nie zapatrywali się na ich przykłady, tem większej godni kary, że młodość zmarnowali na próżniactwie, a w zbytkach roztrwoniwszy ojcowiznę, szukali w rozbojach zysku właśnie w tym czasie, kiedy ich dzielni ojcowie bili się z wrogami za ojczyznę!

Długo jeszcze prosiła królowa, niezważając na te wszystkie przyczyny, ale król niechciał przebaczyć — i Judyta odeszła zasmucona; wszelako nie straciła nadziei.

Nazajutrz rano król wyjechał z całym dworem na łowy, aby nie być przytomnym spełnieniu wyroku; wieczorem dopiero miał wrócić.

Nie zaniedbała tego czasu Judyta, i tak wszystko ułożyła, że strażnicy więzienia i wykonawcy wyroku, ufni w mądrość świątobliwej królowej, przychylili się do jej woli, i zamiast stracić winnych, ukryli ich na bezpiecznem miejscu, czekając, póki czas nie złagodzi słusznego gniewu króla. Judyta tymczasem podwajała modłów i postów, ale jako niewiasta mądra i cnotliwa, pokazywała mężowi twarz uprzejmą, wyglądając chwili sposobnej do mówienia.

Minęło dni kilka: król najwięcej bawił na łowach, które bardzo lubił w krótkich czasach pokoju. A były to wtedy inne łowy jak dzisiaj, gdzie sobie bezpiecznie polują na zająca lub sarnę; wtedy wielkie przestrzenie po mil kilkanaście okryte były okrutnemi lasami modrzewi, sosien, dębów, buków i t. p.; na ich konarach gnieździły się przeróżne roje świegotliwego ptastwa, które teraz nie wiedzieć gdzie się wyniosło, a pod

drzewami przechadzały się jelenie, tury, żubry, niedźwiedzie, dziki, z któremi nie tak bezpieczno było się potykać, i trzeba było nie lada śmiałości i wprawy, żeby i życiem nie przypłacić i zwierza przynieść z obłowu.

Bolesław wrócił dnia jednego wesoły, bo za nim na kilku wozach wieziono ubitą zwierzynę, i gdy zasiadł do wieczerzy z panami dworu, czoło jego było wypogodzone, i rad począł rozmawiać o wypadkach dni upłynionych i o świeżej wojnie ruskiej; lecz gdy zaczął wyliczać zasługi i rycerskie dzieła swych wojowników, nagle posmutniał, bo sobie przypomniał jak dopiero co skazał na śmierć synów rycerzy, którzy tyle ran ponieśli dla ojczyzny, i rzekł do tych co go otaczali:

— Młodzież jest pusta i lekkomyślna z przyrodzenia, niepodobna jednak, aby jabłko od jabłoni tak dalece odpadło, i dzieci takich ojców zupełnie wyrodzić się miały. Kto wie, może trzeba było młodzież swawolną pokrócić i ukarać, lecz nie gubić.

— Miłościwy Panie, rzekł na to jeden z rycerzów Bolesława, niechby zmazali swoją winę krwią i trudem dla kraju, ale szkoda było młodych głów pod miecz katowski!...

A gdy król milczał zamyślony, Judyta się odezwała:

— A cobyś dał, gdyby jeszcze do życia powrócili?

— To już niepodobna, odpowiedział król, ale niczegobym nie żałował, abym ich zdrowych mógł ujrzeć, a domy ich od niesławy uwolnić.

Wtedy Judyta rzuciła się do nóg Bolesława, mówiąc wdzięcznym głosem:

— Królu mój i mężu, to jest w twojej mocy, rzeknij tylko słowo, a przyprowadzę ci tych młodzieńców, abyś im mógł przebaczyć, jak ojciec przebaczył marnotrawnemu synowi!

A gdy król patrzał na nią wpół zdziwiony, wpół groźny, mówiła dalej:

— Wyznaję, żem ich ukryła przed karą, aby nie poszli na potępienie umierając w grzechu, ale jakoby wskrzeszeni twą łaskawością, służyli ci odtąd wiernie i chwalebnie.

Belesław jako był wspaniałego umysłu, podniósł żonę, a całując ją uprzejmie, obiecał przebaczenie młodzieńcom, co

też dotrzymał, i nie tylko przypuścił ich do służby i łaski królewskiej, ale zakazał aby im nikt na przyszłość win młodości nie wymawiał.

Nie pożałował nigdy tej łaskawości, i młodzieńcy porzucili na zawsze swe błędy, i wyrównali w cnotach i zasługach zacnym ojcom. Judyta zaś pełna cnót i dobrych uczynków umarła roku 1807; pochowana w Gnieźnie z wielkim płaczem ludu, którego była matką.

R. W.

JESIEŃ.

Siedzi sroka na kole
Przy otwartej stodole,
Wróbel sobie pod strzechą
Śpiewa z wielką uciechą.
Wiozą zboże hej z pola,
Porodziła nam rola!

Na wysokim wozie, na pszenicznych snopach
Usiadł Janek sobie jak pan na dwóch kopach,
Wiezie do dom zboże, nazwozić nie może,
Składa niebu dzięki, chwali imię Boże...
A Antek parobek z dużemi widłami
Jak bocian przez łąkę sunie za wołami:
Hej woły wy moje, hej wy siwe woły,
Zrodziło się zboże, wieźcie do stodoły!

Dzwoni dzwonek w kościele
Już o „Pańskim Aniele"
Słonko zaszło za góry
Świeci gwiazdka z za chmury —
Woły z potu się kurzą
Dużo chleba, oj dużo!

Młóci Tomek młóci, aż mu trzeszczą żebra,
Pot mu płynie z czoła jakby woda z cebra,
Wali cepem wali, aż huczy stodoła,
A z kłosów się sypią ziarneczka do koła!...

Przygartuje snopy
Namłócił dwie kopy —
Poskrobał się w głowę,
Młóci kopę nowę.

Hej dał Pan Bóg chleba, ile go potrzeba,
Urodziła hojnie uprawiona gleba,
Trzeba Boga chwalić, by chleb spożyć zdrowo,
Nietylko chleb dobry — lepsze Boże słowo!

Stach Barwinek.

DOBRY SYN.

I.

W małem miasteczku, koło Lublina, żył sobie szewc Wawrzyniec Skórnik ze swoją żoną i siedmiorgiem dzieci bardzo szczęśliwie. Wawrzyniec jako człowiek pracowity, trzeźwy i słowny, nie tylko miał dość roboty w samem miasteczku, ale i państwo z Lublina i ze wsi chętnie dawali do niego robić, bo też i dawał dobrą skórę, i umiał but tak przykroić i uszyć, że leżał na nodze jak ulany. Oprócz domku miał ci Wawrzyniec jeszcze kilka morgów roli i ogród, które bardzo dużo mu wydawały, bo też były starannie wygnojone i uprawione. I było z roli i żytko i hreczka i konopie i len, a z ogrodu były i jabłka i gruszki i śliwki, tak że na całą rodzinę wystarczało.

Dziwili się sąsiedzi, że z tak małego gruntu tyle zbioru, ale Wawrzyniec się nie dziwił. Oddał ci on całe gospodarstwo polowe i ogród swemu najstarszemu synowi Mikołajowi, i rzekł do niego:

— Mikołaju! ja i matka nie mamy czasu, aby się zająć tem gospodarstwem, bracia twoi i siostry nie mogą, bo są małe, więc też tobie oddaję, gospodaruj i żyw nas.

A Mikołaj jak się też wziął do pracy, jak nie zaczął różnych sposobów wymyśliwać; tak też i zrobił, że grunt ten wystarczał na wyżywienie wszystkich.

A rodzice go za to bardzo kochali, bo kiedy często wieczorem późno przyszedł z pola do domu, to i ojciec go ucałował, i matka go uściskała, i bracia i siostry obsługiwali go, jakby swego drugiego ojca. A on się cieszył, że go Bóg uczynił tak silnym i zdrowym, i dozwolił mu tak wielce przysługiwać się i dopomagać swoim rodzicom.

Jednego dnia zrana mówi Wawrzyniec do swoich:

— Trzeba mi pójść do Lublina po skórę, mam dużo obstałunków, a słowa muszę dotrzymać.

I zebrał się zaraz, pożegnał swoich i poszedł. Mikołaj go odprowadził za miasto i wrócił do swojej roboty. Przeminął dzień cały, wszyscy już wieczorem zgromadzeni w izbie, jakąś ręczną robotą zajęci, oczekiwali ojca.

Zaszczekał pies na dziedzińcu, a po chwili wszedł Wawrzyniec do izby. Przywitali się. Zrzucił kupioną skórę i usiadł zmęczony na ławie i rzekł:

— Dobrze mi się udało wytargować skórę, dobra, mięsista i niespalona, będą moi panowie kontenci. Ależ miałem jeszcze inne szczęście. Oto! patrzcie, co znalazłem!

I pokazał im porządny i prawie jeszcze nowy, wyszywany kożuszek. Wszyscy się zbiegli, przypatrywali się i chwalili.

Wreszcie Mikołaj rzekł:

— Ten kożuszek, to kubek w kubek, jak starego pana Marcina.

— Prawda, mówi matka, taki sam; on go sobie był przywiózł z Węgier, ale to też musi drogo kosztować.

— Et! co to u pana Marcina znaczy, prawi Wawrzyniec, wszakci on bogaty, sam ze siostrą, łatwo im oszczędzić. Ale co dobry i uczciwy człowiek, to prawda. Wszystkim pomaga, biednym nieraz dużo daruje; a ot i mnie przed pół rokiem, jak wiecie, pożyczył sto złotych, a żadnego procentu nie wziął, i czeka mi jeszcze, nie gniewa się za to żem mu nie oddał, a za buty swoje, co je daje u mnie robić, dobrze płaci. — Trzeba będzie jutro pójść do niego i wypytać się, czy to może jego kożuszek.

I oglądali go znowu wszyscy, bo miał bardzo prześliczne wyszywania czerwone i zielone, a sam był bronzowy.

— Gdzieżeś go ojcze znalazł? zapytała matka.

— A ot w ulicy, leżał na samym środku w ciemności, ledwiem się co przez niego nie przewalił.

— Ale, mówił Wawrzyniec, ja bo jeszcze coś znalazł. Oto! patrzcie! I wydobył nóż dosyć wielki kończaty i ostry jak brzytwa.

Przyglądali mu się wszyscy i podziwiali, bo takiego noża jeszcze nie widzieli.

A jeden z młodszych braci wziął go do ręki i mówi:

— Ależ bo on zdaje mi się zardzewiały czy co, bo już poczerwieniał.

— Pokażno! mówi Mikołaj, i wziął nóż i śliną zaczął rdzę obcierać i rzekł: Oj to nie rdza, bo rdza tak nie puszcza.

Ojciec spojrzał na nóż, przypatrzył mu się bliżej i zawołał przestraszony:

— To krew jest na tym nożu!

Matka rzekła:

— Ot wyrzuć ten nóż do licha, bo jakoś mi straszno się robi; kto wie co to za nóż.

Oj! nie był to prosty nóż, ale sztylet czyli puginał; oj! nie była to rdza, ale świeża krew!

Kiedy tak wszyscy w izbie strwożeni to nad tym kożuchem, to nad tym nożem rozmyśliwali, posłyszeli nagle jakiś krzyk, hałas, wołanie na ulicy. Wyszedł Mikołaj popatrzeć się coby to takiego było, lecz przelękniony powrócił do izby i zastraszonym głosem rzekł:

— Chryste Panie! ta to okropne się stało nieszczęście w naszem mieście: może przed pół godziną zamordowano pana Marcina i jego siostrę, pozabierano pieniądze, łyżki srebrne, a straż chodzi po wszystkich domach, i przetrząsa i szuka złoczyńcę.

Strach wszystkich ogarnął, stali jakby skamieniali. W tém porwał Wawrzyniec za kożuch i nóż, i chciał je gdzieś do licha wyrzucić; ale już nie zdążył wyjść z izby, bo w tej chwili i do jego domu straż przyszła. Nikogo nie wypuszczono, a Wawrzyńca, który kożuch miał pod pachą, a nóż w ręku,

zaraz przytrzymano. Na nieszczęście sługa nieboszczyka pana Marcina, który wraz ze strażą przyszedł, zawołał:

— Oto kożuch mego pana!

Zabrano kożuch i nóż, a świeża krew na nim w straszne podejrzenie wprawiła poczciwego Wawrzyńca. I wzięto go do więzienia. Nieszczęśliwa matka i dzieci zachodziły się od płaczu; mówiły, że ojciec nic nie winien, że dopiero co wrócił z Lublina, że tam skórę kupował, że wszyscy na to przysięgną. Nic nie pomogło: kożuch u Wawrzyńca znaleziony i nóż krwawy stały się zgubą jego. I siedział nieszczęśliwy ojciec w więzieniu, a robota i rzemiosło w jego domu ustały; zaczął się wkradać do jego chaty niedostatek.

Pokazało się przy śledztwie, że ten kożuch iście był nieboszczyka pana Marcina; że tak on jak jego siostra mieli rany, takim właśnie nożem czyli sztyletem zrobione, jak go u Wawrzyńca znaleziono; pokazało się, że Wawrzyniec właśnie kilka minut po zabójstwie przechodził tą samą ulicą, gdzie dom stał pana Marcina, bo też tamtędy prowadziła droga z Lublina; pokazało się, że kożuch i nóż chciał wyrzucić czyli ukryć; pokazało się, że panu Marcinowi był winien sto złotych. Ot i tak wszystko, jakby się sprzysięgło przeciw niemu. On nie miał żadnej obrony, on tylko mówił, że jest niewinny, że te rzeczy znalazł po drodze. Ale cóż? nie miał na to świadków, nie mógł nikogo przekonać.

I stało się, że nieszczęśliwy Wawrzyniec został skazany na lat dwadzieścia do ciężkiego więzienia; on co już miał koło sześćdziesiąt: było to jakby na śmierć.

II.

Po odczytaniu wyroku odprowadzili Wawrzyńca do więzienia, i miał być za kilka dni odwieziony do głównego miasta. Siedział on sobie w więzieniu spokojny, z czystem sumieniem, świeczka łojowa ciemnawo się paliła, a on dumał i dumał.... i westchnął głęboko.

Cóż to tak ciężkiego miał na sercu? Ach! nie straszyło ani ciężyło mu to, że niewinnie cierpi, bo sobie pomyślał, że

wielu ludzi cierpi niewinnie; popatrzał się na rozkrzyżowanego Chrystusa na krzyżu, co nad jego łóżkiem wisiał, ta i ten cierpiał niewinnie. Nie o to mu szło. Ale ciężko, ach bardzo ciężko mu było, kiedy sobie przypomniał na żonę i na drobne dzieci.

W tem zadumaniu nie usłyszał, że klucz w zamku jego drzwi się obrócił, i że ktoś wszedł do więzienia.

Nagle uczuł, że go ktoś całował po rękach, po nogach, że go ściskał, i że głęboko płakał. Ocknął się, a przed nim stał syn jego najstarszy Mikołaj. Dostał on był pozwolenie widzenia się z ojcem.

Pooglądnęli obaj po sobie. I ojciec przez ten czas się zmienił i Mikołaj. Ojciec znękany pobladł, zesechł, zmizerniał, tylko oko jego odbijało świętym spokojem, czystem sumieniem i niewinnością. I Mikolaj pobladł, ale oko coś tak wydawało, jakby jakąś tajemnicę kryło, którejby nikt niebył odgadł.

I spojrzeli po sobie, i patrzali tak długo, i nic do siebie nie mówili, bo okropna boleść ściskała ich serca; aż łzy ciche i rzewne puściły im się z ócz.

— Mikołaju, rzekł ojciec trzęsącym się od rozrzewnienia głosem, wiesz, jaki zapadł na mnie wyrok: dwadzieścia lat, to nie jedna chwila, to dla mnie długo, oj! to bardzo długo! A moja żona, a twoja matka, a moje dzieci, a ty; wy wszyscy zostaniecie beze mnie. Z początku jeszcze jako tako, potem sprzedacie dom, potem grunt, a potem już nic nie będzie; a potem nędza i głód! Tak, mój synu, przygotuj się sam do tego, i przygotuj ich także, bo taka widocznie wola Boga.

— O! nie mój ojcze, zawołał Mikołaj, to być nigdy nie może! Tyś niewinny, ty nie możesz ich opuścić, bez ciebie oni poginą w nędzy, ty musisz być wolny.

— Gdyby to od ciebie zależało, to pewnie byłbym wolny, bo ty wiesz żem niewinny.

— Gdyby to odemnie zależało? powtórzył Mikołaj, i zadumał się na chwilę, a potem wesoło rzekł: Ojcze! ty będziesz wolny! Bóg mnie natchnął, o jakże mu dziękuję!

I uklęknął Mikołaj przed krzyżem, wzniósł do Zbawiciela spłakane oczy, i w cichej modlitwie dziękował za coś Bogu.

Ojciec patrzał zdziwiony, bo nic z tego nie rozumiał. Mikołaj wstał, ucałował rękę ojca i prosił o jego błogosławieństwo. A potem rozłączyli się.

III.

Nazajutrz zrana wstał Mikołaj wcześniej, ubrał świąteczną odzież, i rzekł matce, że pójdzie się spowiadać na intencyę ojca, ucałował ręce matce, ucałował braci i siostry, ale tak czule, jak żeby ich po raz ostatni już widział, i poszedł do kościoła.

Kilku tylko ludzi nabożnych tam było. Xiądz proboszcz siedział w konfesyonale i modlił się z xiążki.

Przystąpił Mikołaj do konfesyonału, i długo coś klęczał, i długo coś ze spowiednikiem rozmawiał: aż nakoniec i spowiednik i on się rozpłakali, i spowiedź się skończyła. Klęcząc przez całą mszę świętą modlił się gorąco Mikołaj, przyjął przenajświętszy sakrament; i pokrzepiony na duszy i na ciele opuścił kościół.

Z kościoła przeszedł się jeszcze po mieście, jak gdyby je miał po raz ostatni widzieć, popatrzył się na śliczne słoneczko, jak gdyby się miał z niem żegnać, aż w końcu poszedł do sądu.

Tu siedzieli sędziowie w wielkiej komnacie; na długim zielonym stole stał krzyż ze zbawicielem, a księgi praw i ustaw leżały w skórze oprawne. I wszedł tam Mikołaj i spojrzał po wszystkich, a skoro go się zapytali, kto on jest i czegoby żądał, odrzekł głośno:

— Sędziowie! jam jest, który zabił pana Marcina i jego siostrę! Jam jest winien, nie on starzec, który umiera w więzieniu.

A sędziowie rzekli:

— Czy wiesz że cię śmierć czeka?

— Wiem to! odrzekł Mikołaj.

I kazali go zaraz jako mordercę zaprowadzić do więzienia i okuć w kajdany.

IV.

O niczem nic nie wiedział ojciec Wawrzyniec; nie wiedział, że szlachetny syn jego aby wyratować ojca, aby go oddać matce i drobnym dzieciom, wziął winę na siebie i ofiarował życie dla niego.

I siedział sobie jak zwykle, i czytał w xiążce do modlenia, gdy się nagle drzwi otwierają, i urzędnik od sądu mu oznajmił, że jest wolnym. Nie chciał temu wierzyć Wawrzyniec i pyta, jakimby to sposobem się stało.

Urzędnik mu odpowiedział, że morderca sam się dzisiaj stawił do sądu.

— A skądże on jest? cóż to za jeden? zapytał się Wawrzyniec.

A urzędnik odrzekł: Jest ztąd, nazywa się Mikołaj Skórnik.

— Jakto?! wykrzyknął Wawrzyniec, mój syn? to być nie może! On tak niewinny jak ja. Puśćcie mię, puśćcie do niego!

I poleciał pędem do sędziów, i dowiedział się, że prawdziwie jego syn Mikołaj sam się stawił. I uprosił aby się mógł z nim widzieć. Wszedł ojciec do więzienia syna. Mikołaj w kajdanach klęczał i modlił się, lecz skoro ojca wchodzącego spostrzegł, zerwał się, i stanął nieśmiały ze spuszczonemi oczyma.

— Synu mój, mówił Wawrzyniec, cóżeś nieszczęśliwy uczynił? wszak tyś tak niewinny jak ja!

A Mikołaj nie podnosząc oczów odrzekł:

— O! nie, mój ojcze! tyś niewinny, ale ja, ja — i zająknął się, ale potem mówił, jam winny, jam go zabił.

— Mikołaju! jeżeli to mówisz przedemną, to pierwszy raz w życiu kłamiesz.

— O nie ojcze, jam go zabił!

— Popatrz się dziecię moje mi w oczy!

A Mikołaj podniósł oczy, a były tak czyste, jak niebo niebieskie, a tak niewinne jak anielskie.

— O! nie Mikołaju, tyś żadnej zbrodni nie popełnił! Tyś się za ojca twego ofiarował! A wiesz ty co ciebie czeka? wołał stary Wawrzyniec.

— Śmierć każdego mordercę czeka, odpowiedział syn.

— Ależ ty nie morderca, tyś....

I chciał ojciec jeszcze coś więcej mówić, gdy w tem urzędnik od sądu przyszedł, i powiedział, że pozwolona chwila do rozmowy minęła, że już musi odejść.

I odszedł. Co się w jego sercu działo, tego nikt nie jest w stanie wypowiedzieć. Przyszedł do swego domu, do żony, do dzieci, lecz zamiast uciechy z jego powrotu, straszny smutek wszystkich ogarnął na jego opowiadanie.

V.

Tymczasem sędziowie szybko sądzili; a ponieważ Mikołaj do wszystkiego się przyznawał, rzecz prędko została rozstrzygnięta; — i Mikołaj został zkazany na śmierć.

Kiedy mu ten wyrok przeczytano, jasne jego oko podniosło się do nieba, i wyrzekł te słowa: O jakże to słodko umierać za ojca!

I nadszedł ten straszny dzień, w którym miał być Mikołaj tracony; kat przyjechał ze stolicy, całe miasteczko było w rozruchu. Raniutko posłyszano bęben. Tłum ludzi zbiegł się koło więzienia.

Wyprowadzono Mikołaja, zbladł był nieco, lecz pewnym krokiem, jakby do szczęścia, szedł między strażą, gdzie go za miasto na tracenie prowadzono.

I posuwali się tak wszyscy powoli, i przeszli przez miasto, i wyszli na błoń, i zbliżyli się do strasznego miejsca. Wszyscy płakali za tym pięknym młodzieńcem, wszyscy patrzali na niego, a nikt nie chciał wierzyć, żeby on mógł taką zbrodnię popełnić.

Wtem z pośród tłumu, posłyszano okropny jęk i krzyk przeraźliwy:

— Mój synu! mój synu! co robisz? tyś niewinny jak anioł! Mój Boże! ratuj go!

Był to ojciec Wawrzyniec.

I Bóg go wyratował.

Już byli stanęli na miejscu, kat już czekał przygotowany, wtem nagle ktoś z miasta pędzi na koniu, a trzyma wysoko nad sobą jakiś papier, rozlatują się ludzie, on zeskakuje z konia i oddaje papier sędziemu, który Mikołaja odprowadził na śmierć.

Przeczytał sędzia to pismo i rzekł:

— Oto przyszła wiadomość od sądu wyższego, że w samym Lublinie wczoraj schwytano prawdziwego mordercę, jak zrabowane pieniądze wydawał, i łyżki srebrne przedawał; w końcu wyznał prawdę; kożuch i nóż opuścił był w nocy uciekając. A zwróciwszy się do Mikołaja rzekł:

— Teraz jesteś wolny!

A do ojca Wawrzyńca te słowa przemówił:

— Oto twój syn wolny i czysty i niewinny; oby takimi synami Bóg każdego ojca obdarzył!

Rzucił się Mikołaj w ramiona ojcowskie; ani jeden ani drugi słowa wymówić nie mogli, ściskali się i całowali i płakali, i słychać było tylko przytłumione słowa: Synu mój drogi! Ojcze mój kochany!

A ludzie razem z nimi płakali, i dziękowali Opatrzności.

Bakałarz z Lwigrodu.

RADY GOSPODARSKIE.

O koniczynie.

Koniczyna jest liściasta, a liść jest słodki, soczysty, i to ją czyni tak wyborną paszą dla koni, bydła rogatego i owiec. Wiadomo wszystkim gospodarzom, że im więcej jest koniczyny na łące, tem lepsza trawa i siano. Możecie więc sobie wystawić, jak wybornem jest siano z samej koniczyny.

Kto sieje dużo koniczyny, tego bydło ani latem ani zimą głodu nie zna. A przypatrzcie się niejednemu gospodarzowi, jak ma liche konie, jak bydło jego na gołych odłogach nie ma

latem co jeść, jak chudemi wołami orze. Takiemu przydałaby się bardzo koniczyna. Poznajcie jak się ona hoduje.

Koniczyna udaje się prawie wszędzie, tylko nie lubi zbyt lekkiego, piaszczystego gruntu, nowin i bagnisk. Najlepiej jednakże rodzi się na mocnej roli. Wymaga bardzo starannej uprawy, roli dobrze oczyszczonej. Koniczyna sieje się zupełnie inaczej niż żyto, jęczmień, owies; nie wymaga ona osobnej roli, ale rodzi się razem ze zbożem na tem samem miejscu. Na jednej roli sieją się więc dwa ziarna, n. p. żyto i koniczyna, albo jęczmień i koniczyna, albo owies i koniczyna. Żyto, jęczmień lub owies udaje się jak zwykle, a oprócz tego po sprzęcie zboża na tem samem miejscu, bez starania, bez osobnej uprawy, rośnie z koniczyny łąka, którą się na przyszły rok dwa razy kosi i sprząta. Najlepiej ją siać w jęczmieniu, a to dla tego, że pod jęczmień wybierają ziemię lepszą, dobrze uprawną i nie jałową. Ale można ją także siać w oziminie, owsie, tatarce i lnie. Koniczynę siać trzeba wcześnie z pozimku. Ale kiedy jest powietrze wilgotne lub mgły, można koniczynę siać w życie, choćby się to już z łokieć w górę wydobyło, a i wtedy obrodzi się jeszcze doskonale.

Użytek z koniczyny jest dwojaki: albo się ją sieje w oziminie na pastwisko dla bydła, albo też na siano. Główny z niej użytek jest na siano. W każdym razie można na niej paść bydło, skoro zboże się sprzątnie, t. j. w pierwszym roku. Najgłówniejszy jednakże użytek z koniczyny mamy w drugim dopiero roku; w drugim bowiem roku koniczyna się krzewi i śliczną tworzy łąkę na polu. Wtenczas siecze ją się albo po kawałku na zieloną paszę dla krów i koni, albo też siecze się ją wszystką od razu i suszy na siano.

Jak się suszy i sprząta koniczyna?

Upatrzy się czas pogodny, posiecze się ją, zaraz potem rozpostrze, i kiedy cokolwiek przeschnie, zbiera się ją jeszcze tego samego wieczora w małe kupki. W tych kupkach zostaje przez noc, aby się wypociła, a na drugi dzień, skoro rosa oschnie, rozpościera się ją na nowo, i znowu w większe kupki grabi, aż zupełnie wyschnie. Dobrze jest także rozrzucić po koniczynie suchą słomę i potem razem z słomą koniczynę grabić.

Koniczyna zmięsza się z suchą słomą, prędzej wyschnie, nie tak dużo liścia utraci, a słomę przejmie tak swym zapachem, że ją potem razem z koniczyną bydło lub owce smacznie zjedzą.

Koniczyna nie psuje roli, ale ją owszem użyźnia. A to takim sposobem: Koniczyna gdy się uda, puszcza głęboko korzenie, więc rozkrusza ziemię; po drugie, opada z niej bardzo wiele liścia, więc liście to zamienia się w gnój, i rolę użyźnia; po trzecie, kiedy się koniczynę sprzątnie, zostawia się ją jeszcze z tydzień albo dwa, aby znowu nieco podrosła i potem się ją taką zieloną przyoruje, a wtenczas tak z przyoranej młodej koniczyny, jakoteż z długich korzeni, robi się w ziemi mierzwa, i doskonale ziemię użyznia. Dla tego ozimina wybornie się udaje po koniczynie. Jeżeli się zaś koniczyna nie udała i zostają się place jałowe, wtenczas nie trzeba czekać drugiego sprzętu, tylko po pierwszym koniczynę zorać, inaczej się rola zaniszczy. Była to mowa o koniczynie czerwonej.

Jest jeszcze koniczyna biała, która się więcej pnie po ziemi niż w górę rośnie. Koniczyna biała różni się głównie od czerwonej tem, że czerwona wymaga mocniejszego gruntu, a biała udaje się i na lżejszym gruncie; ale za to czerwona daje obfitszy sprzęt niż biała. Jaka ztąd korzyść? Ztąd jest ta korzyść, że gospodarz, który ma tak lichy grunt, iż czerwonej koniczyny siać nie może, może siać białą, i z niej także mieć wielki zysk, a jest z niej jeszcze lepsze siano niż z czerwonej, bo daje gęstszą i cieńszą paszę, a rolę biała koniczyna tak polepsza jak i czerwona. Drugi użytek z białej koniczyny jest ten, że się ją sieje w ugorach na pastwisko.

E. E.

Pisarz Dzwonka do swoich dobrych przyjaciół.

Szan. Juliusz Ligoń, kowal w Zawadzkiem na pruskim Szlązku.

Nie ma to nic milszego na świecie, jak kiedy człek natrafi na serce poczciwe i zacne. To też i wam kochany Juliuszu niech Bóg stokrotnie zapłaci za wasze serdeczne pisanie, które z wielką radością przeczytaliśmy! Bo to człeku już nie żal pracować, kiedy widzi, że są zacni ludkowie, u których dobre słowo i nauka w las nie idzie. Oj gdyby to wszyscy byli tacy jak wy, toby może lepiej było na naszej polskiej ziemi!... Wiersze coście mi nadesłali, z serca bym wydrukował, bo piękne i pouczające, ale cóż kiedy za długie na nasz „Dzwonek.“ Ale skrócę je po trosze i wydrukuję naszym ludziskom ku nauce, jeno troszeczkę później. Niezapominajcie o nas, piszcie znowu jak najrychlej, a pozdrówcie tam wszystkich uczciwych rodaków na tej dalekiej kończynie ziemi polskiej. Ściskam was z braterskiego serca i oddaję Panu Bogu.

Odpowiedzialny redaktor i wydawca: **E. Winiarz.** Z drukarni E. Winiarza.